

Instytut Pamięci Narodowej

<https://ipn.gov.pl/pl/aktualnosci/37810,Wyważyli-drzwi-zmusili-do-ucieczki-relacje-z-początkow-stanu-wojennego.html>
19.04.2024, 23:21

Wyważyli drzwi, zmusili do ucieczki - relacje z początków stanu wojennego



Stan wojenny

„Stan wojenny został wprowadzony w imię obrony systemu komunistycznego w Polsce i interesów imperium sowieckiego, a nie w imię ocalenia polskiej niezależności. Niezależności wszak nie było, to »Solidarność« przyniosła Polakom nadzieję na jej odzyskanie” - pisał we wstępie do wydanej przez Instytut Pamięci Narodowej książki „Stan wojenny w Małopolsce. Relacje i dokumenty” Janusz Kurtyka, ówczesny dyrektor krakowskiego IPN, późniejszy prezes Instytutu.



„Sukces operacji (bo pod względem wojskowym i policyjnym był to sukces) był klęską kolejnego polskiego pokolenia. Stracone dla reform i zmian zostało 10 lat, zniszczony został olbrzymi kapitał nadziei, symbolizowany przez prawie 10-milionową masę członków

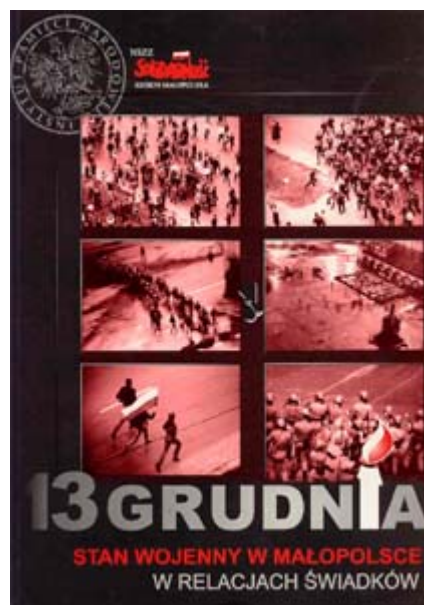
»Solidarności«, na emigrację wypchnięto kilkaset tysięcy aktywnych ludzi, dziesiątki tysięcy innych próbowało kontynuować walkę w konspiracji (jakże często była to amatorszczyzna) i w rozmaitych formach działalności półlegalnej. Nie zabrakło śmiertelnych ofiar walk ulicznych i niewyjaśnionych wciąż działań Służby Bezpieczeństwa”.

Ale dzięki walce opozycjonistów i oporowi społecznemu, podkreślał Janusz Kurtyka, „udało się jedno – zbudowano i ocalono przed całkowitą dezintegracją uznające solidarnościowy etos środowiska, które po 1989 r. mogły wziąć na siebie ciężar odbudowy niepodległego państwa i reformy gospodarki.

Ogłoszenie stanu wojennego było także datą symboliczną dla systemu komunistycznego w Polsce i datą graniczną w skali całego sowieckiego imperium. Od 13 grudnia 1981 r. na pewno można liczyć agonię tego systemu w Polsce, trwającą do 1989 r. i zapoczątkowującą po klęsce komunistów w wyborach 4 czerwca 1989 r. wydarzenia »jesieni ludów« 1989 r. i rozpadu ZSRR”.

Zanim jednak tego doczekaliśmy, w relacjach z nocy z 12 na 13 grudnia 1981 i kolejnych tygodni stanu wojennego, które przypominamy, wiało grozą.

Esbecy: „To my, proszę otworzyć”



Jak wspomina Liliana Batko-Sonik, której relację w cytowanej książce znajdziemy, jej mąż – Bogusław Sonik był wówczas wiceprzewodniczącym Zarządu Regionu NSZZ „Solidarność” w Małopolsce, co wymagało nieustannego zaangażowania w działalność związkową. Właśnie urodziło się im dziecko, a „brakowało najbardziej podstawowych leków, igieł, nikt nie słyszał o jednorazowych pieluchach, a szczytem marzeń był zakup przemycanej z Czech kaszki dla niemowląt, która podczas gotowania nie sklejała się w grudy. Po mleko należało stanąć w kolejce nie później niż o siódmej rano – potem na półkach pozostawał wyłącznie ocet”.

W nocy z 12 na 13 grudnia 1981 r. małżeństwo Soników, mieszkające przy ul. Grodzkiej w Krakowie, usłyszało łomot do drzwi: „Pani Lilko, to my, proszę otworzyć!” – oznajmili

esbecy. „Znaliśmy się przecież od lat: esbecy i ja” – wspomina żona Bogusława Sonika. „Niejeden raz przychodzili z rewizją, niejeden raz zgarniali nas z ulicy do krakowskich aresztów. Oczywiście było to przed »Solidarnością«, w czasie, gdy w Krakowie działał Studencki Komitet Solidarności.

Odpowiadam przez lata wyćwiczonym tekstem: »zgodnie z ustawą, rewizje nie mogą być przeprowadzane nocą, czekajcie do 6.00 rano«. Nie zdążyłam dokończyć zdania, gdy drzwi wypadły z zawiasów.

Zawiadywał nimi porucznik SB Olszak, dobrze nam znany z okresu SKS. Było ich pięciu lub sześciu: podenerwowani, trzęsły im się głosy i ręce. Zrobili pobieżną rewizję, rzuciłam się na nich, gdy chcieli budzić maleńkiego Jacka, by przepatrzeć łóżeczko. Ustąpili. Pozwolili też wyekwipować męża jak na Syberię – najcieplejsza bielizna, dwa swetry, kożuch”. Ale dopiero po paru dniach dowiedziała się, że „zawieźli go do więzienia w Wiśniczu i osadzili samego w nieogrzewanej piwnicy”.

Znacznie groźniej brzmiała relacja pani Majdzikowej ze Skawiny, którą usłyszała potem Liliana Sonik. Jej męża – Mieczysława Majdzika, więźnia okresu stalinowskiego, działacza KPN i ROPCiO oraz syna – Ryszarda Majdzika, związkowca i działacza KPN mimo dotkliwego mrozu wyciągnięto z domu nocą w samej bieliźnie. Co gorsza, esbecy „zabawili się” w symulację egzekucji. Zatrzymanym w polu kazano iść przed siebie, za nimi szli uzbrojeni esbecy. Wtedy Mieczysław Majdzik powiedział do syna: „Pamiętaj, Rysiek, żeby z godnością! Trzeba z godnością...” Obaj, na szczęście, zostali „tylko” internowani.

Szynka budzi żądzę...

Zanim Bogusław Sonik został wypuszczony na wolność, minęło wiele miesięcy. Ale jego małemu synowi udało się wziąć skromny „odwet” na funkcjonariuszu SB.

„Jadę do Załęża z małym Jackiem. Gdy na peronie pojawia się spóźniony o półtorej godziny pociąg, oczekujący tłum rzuca się na poszukiwanie miejsc siedzących. Mały płacze, pandemonium. I zdarza się niemal cud, bo znajduję przedział z jednym pasażerem” – wspomina Liliana Sonik. „Jego twarzy nie widzę, bo zajęty jest lekturą gazety”. Wkrótce współpasażerka odkrywa, że to... płk Ziobro z SB, szef ośrodka dla internowanych w Załężu. Pamięta go, bo prowadził u niej rewizje. „Atmosfera robi się gęsta, lecz nie mam sił przenosić się z dzieckiem i ekwipunkiem: pieluchy, jedzenie, zabawki... Niechże esbek szuka innego miejsca” – myśli młoda mama.

Nagle pasażer wstaje... i „wyjmuje kanapkę z widocznymi plastrami szynki. I wtedy mój Jacek (a nie miał jeszcze dwóch lat) zrywa się i błyskawicznie wyrywa mu z rak tę pachnącą kanapkę. Szynka była nieosiągalnym rarytasem. Mój syn pożera esbecką kanapkę, a ja krzyczę, by ją oddał. Osłupiały płk Ziobro powtarza »nie trzeba, nie trzeba«... A Jacek nie traci czasu, tylko zachłannie konsumuje”.

Potem robi się mniej zabawnie, gdy funkcjonariusz przekonuje, że mąż Liliany Sonik

mógłby opuścić więzienie, gdyby tylko podpisał tzw. lojalkę.

Przepis na zupę z gwoździa

Młoda mama, jak tysiące jej podobnych, stara się przetrwać. „W sklepach nie było nic. A to co było, było sprzedawane na kartki. Nie chciałam zredukować życia do kolejki. Odgrzebałam zapiski babci z okresu okupacji. Wymyślałam receptury na »zupy z gwoździa«. Jak zrobić placek bez mąki, bez cukru i bez masła? Bardzo prosto! To szarlotka zapiekana na chlebie, słodzona dżemem”.

Z takimi przepisami poszła do jednej z krakowskich gazet. Proponowała, by to drukowali, oczywiście bez nazwiska, bo nazwisko było na cenzurowanym. Tłumaczyła, że to ułatwi ludziom życie. Ale cenzura i tak na to nie zezwoliła.

Barykady i dynamit w Bochni

Zatrzymania 13 grudnia udało się uniknąć Józefowi Mroczkowi, pracownikowi Kopalni Soli w Bochni, przewodniczącemu KZ NSZZ „Solidarność” w kopalni, szefowi Sekcji Górnictwa Surowców Chemicznych w Komisji Krajowej. Współorganizował strajk w zakładzie, a po jego pacyfikacji ukrywał się do 27 grudnia 1984 roku.

Noc z 12 na 13 grudnia 1981 r. spędzał poza domem. „Ogromnym problemem stał się powrót do Bochni, gdyż nie działała komunikacja” – wspomina w relacji zapisanej w wydanej w 2001 roku przez krakowski IPN książce pt. „Stan wojenny w Małopolsce w relacjach świadków”. „Zacząłem poszukiwać taksówkarza, który by mnie zawiózł, ale nie było chętnego. Dopiero po paru godzinach udało mi się namówić jednego za niemałe pieniądze. Był mocno wystraszony, gdy przejeżdżaliśmy przez Śląsk; na ulicach, a zwłaszcza na rogatkach miast stało pełno wojska i czołgów.

Po paru godzinach, niezatrzymywani, dojechaliśmy do Bochni. W mieszkaniu, które wynajmowałem, dowiedziałem się od wystraszonej właścicielki, że 12 grudnia o godzinie 23.00 przyszła po mnie milicja. Zabrałem parę niezbędnych ubrań, mały telewizor i szybko wyszedłem (...) 14 grudnia rano przedostałem się do swojej kopalni. Zwołałem Komisję Zakładową, a zaraz potem odbyło się zebranie załogi. Większością głosów podjęliśmy uchwałę o ogłoszeniu strajku okupacyjnego (...) Cały teren kopalni został zablokowany, tuż za bramami utworzyliśmy barykady z koparki i spychacza. Rano ksiądz z parafii św. Mikołaja odprawił dla nas mszę św. To podniosło trochę ludzi na duchu.

O godzinie 10.00 rano zaczęli z nami pertraktować wojskowi, byli też mocno wystraszeni, bo pod ziemią mieliśmy ok. trzech ton dynamitu. Rozpuściliśmy plotkę, że jak nas zaatakują, to wysadzimy kopalnię. Oczywiście była to bujda, gdyż od razu zabezpieczyliśmy magazyn z materiałami wybuchowymi.

Uzgodniliśmy, że jedna zmiana załogi idzie do domu po prowiant i umyć się, a po jej powrocie druga zmiana robi to samo. Gdy część ludzi poszła do domu, nastąpił atak.

Jak ludzie zobaczyli wojsko i milicję, zaczęli panikować. Najpierw przez mur przeskoczyła kilkudziesięcioosobowa grupa uderzeniowa. Opanowali różne pomieszczenia, wiele zdewastowali. Pracownicy nie stawiali oporu, kilku ludzi zostało jednak pobitych. Większość załogi, ok. 250 osób, zaczęła się koncentrować w dużej sali.

Po pewnym czasie grupa uderzeniowa wycofała się, a na teren kopalni wkroczyło ZOMO. Dowodził nim, o ile pamiętam, pułkownik Ceglarek. Zaczęła się »selekcja« na tych, których należy zatrzymać, tj. internować lub aresztować, oraz tych, których można wypuścić – na podstawie przygotowanej listy (...).

W pierwszym momencie dołączono mnie do grupy przeznaczonej do zatrzymania. Zostałem skuty i wepchnięty do »suki« z dwoma milicjantami. Zaczęli mnie straszyć, że pojedę na »białe niedźwiedzie«. Jednak po godzinie, gdy wszystkich rozdzielili, wróciłem do sali. Tam pułkownik odczytywał dekret o stanie wojennym, potem zadawano mu pytania. Zrobili szpaler do bramy i każdego legitymowali. Jeszcze kilku ludzi zatrzymali, a reszcie kazali się rozejść.

Byłem przekonany, że mnie zgarną, tymczasem kazali mi iść dalej. Wyszedłem za bramę i kilkaset metrów poniżej kopalni spotkałem się z chłopakami. Uzgodniliśmy, że od jutra będziemy znowu strajkować (...).

Na miasto - w sutannie

Okazało się, że na liście pułkownika Ceglarka była wpisana Józefa Mrocza, więc szukali kobiety (...) Gdy podchodziłem do domu (...), zobaczyłem w moim pokoju zapalone światło i jakieś osoby. To mnie uratowało (...) Nie bardzo wiedziałem, co dalej robić. Przypomniałem sobie, że ksiądz, który odprawiał mszę w kopalni, mówił, że gdyby coś się działo, to należy dać znać. Poszedłem na plebanię parafii św. Mikołaja. Tam porozmawiałem z proboszczem Wójtowiczem, który zaproponował mi nocleg”.

Po kilku dniach związkowiec pożyczył od kapłana sutannę oraz kapelusz i wyszedł na miasto. Nie udało mu się jednak spotkać nikogo, kto pomógłby mu w ucieczce. U gościnnego księdza pozostał niemal do świąt Bożego Narodzenia.

Wkrótce dołączył do niego Zbigniew Dulemba, szef Delegatury „S” w Bochni, który też musiał się ukrywać. Ale „pewnego dnia do kancelarii wkroczył kapitan SB i oświadczył księdzu, że wie, iż tu jesteśmy (...). Jednak nie zdecydowali się na przeszukanie. Wkrótce rozesłali za mną listy gończe”.

Ksiądz Wójtowicz i związkowcy uznali, że pora opuścić plebanię. Przenieśli się na drugą stronę ulicy, do mieszkania zajmowanego przez dwie starsze siostry. Wkrótce zresztą milicja otoczyła plebanię i trzymała tam przez dwa dni posterunki. Święta spędzili w nowym lokum.

Dzięki życzliwości podobnych ludzi związkowiec nie wpadł w ręce bezpieki ani wojska aż do

końca 1984 roku - stan wojenny był już wówczas zawieszony.

Więcej dramatycznych wspomnień znajdziemy w książce [„Stan wojenny w Małopolsce. Relacje i dokumenty”](#) - opracowanie: [Zbigniew Solak, Jarosław Szarek, współpraca Henryk Głębocki, Jolanta Nowak, Adam Roliński, Kraków 2005.](#)

oraz - w książce [„Stan wojenny w Małopolsce w relacjach świadków”](#) - opracowanie: [Zbigniew Solak, Jarosław Szarek, współpraca Ewy Zając, Kraków 2001.](#)

Obie książki dostępne są na stronie [13grudnia81.pl](#)